



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80 W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

PORANEK.

Słońce wstaje, mgła rozchyła
Swe kotary na niebiosach;
Kwiat się kąpie w rannych rosach,
Nie przerywa snu motyla.

Lilia modli się schylona:
Jest na ziemi, chce być w niebie;
Róża mówi zapłoniona
Do motyla: — Kocham ciebie!

Motyl skrzydła swe rozkłada,
Skrzydła lśniące brylantowo,
I półszepcetem odpowiada:
Kocham! kocham cię, królowo!

Lekki wietrzyk wzrusza drzewa,
Światło, ciepło, barwy, wonie,
Wszystko mieni się i płonie,
Świat jaśnieje, kocha, śpiewa!

Miłość czarę swą przechyła,
A świat pije z uniesieniem,
I człowieka i motyla
Serce staje się płomieniem...

Niebo jasne i różowe,
Biała chmurka wdał się wije...
Rozmarzoną schylam głowę,
Słucham, jak mi serce bije...

Czuję jeden słońca promień
W serca mego głębokości;
Czuję jeden własny płomień
Wśród ogniska wszechmiłości.

Serce moje jest ogniwem
Od miłości tej łańcucha,
Która łączy pasmem żywym
Głębie świata, z głębią ducha!

Szczesna.

LUCYA Z KSIĄŻĄT GEDROICIÓN

RAUTENSTRAUCHOWA.

(Dokończenie).

Droga kołowa z Paryża do Polski—to już była rzecz niemała w czasach, gdy nie istniały szosy nawet, a gościńce, trakty bite stanowiły: „głina ubita, w lecie twarda, w zimie rozmokła.“ Ileż-to popasów i noclegów trzeba było odbyć, jakie zapasy wieźć ze sobą, choćby już tylko na konieczne potrzeby podróży, a cóż dopiero, gdy się zabierało wszystkie przedmioty cenniejsze, posiadane przez rodzinę złożoną z czterech osób, bo obok matki i dwóch siostr, przebywał syn, uczący się jeszcze! Matka wahała się przed wyjazdem, czy nie zostawić go w Paryżu, aż do czasu ukończenia nauk, które—jak sądziła—mogły we Francyi stać wyżej niżeli w biednym, ciężkimi walkami wciąż wstrząsanym, kraju. Lecz kobieta, znać rozumna i pojmująca wartość nauki, ważność edukacyjnego jej wpływu na życie i losy człowieka, nie śmiała sama wy-

rokować, więc odniosła się o radę do szwagra, który odpisał, że „przedewszystkiem każdy powinien nie być cudzoziemcem we własnym kraju i, bądźco bądź, podzielać jego dole i niedolę.“ Mądre to zdanie, po wszystkie czasy i okoliczności prawdziwe, bo żadna wiedza nie nagrodzi zerwania tej spójni, która łączyć powinna każdą istotę ludzką z jego społeczeństwem—zostało usłuchaniem przez generałową Gedroicioną. Syn wracał do domu wraz z siostrami, a że była jeszcze panna służąca, Polka, osoba otyła, grupa podróżna składała się z pięciu osób, a co pakunków dodać było trzeba do tego! Generałowa zapragnęła kupić srebra stołowe, w miejsce postradanych w Wilnie, przytem księżniczka Kunigunda otrzymała od Józefiny, jako upominek ostatni, całą zastawę do kawy i herbaty we wszystkich jej przyborach, imbryków, tac, świeczników, ze srebra złoczonego, „vermeil.“ na co trzeba było zrobić odpowiednie kufry, a w połączeniu z tłumokami, kuframi innemi, stanowiło to pakunek nie lada. W najetej wozowni stała przez wszystkie lata pobytu w Paryżu karetka poczwórna, którą przyjechano z kraju, wytoczono ją teraz, zwrócono dyszel w stronę ukochaną, ale gdy obładowano ją wszystkimi temi kuframi, „stało się z niej monstrum takie, że zadziwiało przed bramą przechodniów.“ W środku musiało się zmieścić pięć osób trzeba też było zaprzężyć cztery konie pocztowe, aby ten wóz podróżny wracający zdaleka wyгнаńców, mógł się ruszyć i toczyć przed siebie.

Przy wjeździe do Monachium pękły naraz dwa resory i oś. Karawana doszła pieszo do hotelu i musiano zatrzymać się tak długo, aż karetka naprawioną zostanie. Rozeszła się po mieście nowina o zatrzymaniu się podróżnej rodziny polskiej, a że Eugeniusz Beauharnais, już teraz nie wicekról włoski, nie cesarski książę francuzki, ale Leichtenberski, na pokomornem u rodziców żony się przytulił, więc zaraz na drugi dzień do drzwi

generałowej Gedroiciowej zapukał. Księżniczka Kunegunda mogła mu opowiadać historią ostatnich dni jego nieszczęśliwej matki, mogła mu opowiedzieć o ostatnich walkach i upadku Francji, o powrocie Burbonów—o boleści jednych, a zbiegowstwie drugich i cheiwy tych hiobowych wieści, tych dziejów przewrotu i ruiny, po dwa razy na dzień do hotelu przybywał, co rozgłosiło się też musiało. Bawiła wtedy u siostry swej, królowej bawarskiej, cesarzowa rosyjska, Elżbieta, a że cesarz Alexander za czasów wileńskich, formując dwór miejscowy, sześć panien polskich na damy honorowe dla żony swej i matki wybrał, między którymi znajdowała się i generałówna Gedroic; więc zachodziła z dworskich obowiązków konieczność stawienia się przed cesarzą—prezentowania się, z otrzymaną cyfrą brylantową, którą powinno się było z niebieską kokardą na lewym ramieniu nosić. Ale i cyfry tej nie było, i księżniczka nosiła czarną suknię żałoby po ukochanej opiekunce. Postanowiła więc wcale z pokoju nie wychodzić, nie była nawet w łoży księcia Eugieniusza, którą jej tenże ofiarował, gdy na urzędowy bal, dla cesarzowej dawany, zaproszenie otrzymała. Odpowiedziała księciu, że i na to jest zanadto słabą.

Książę Leichtenberski rozumiał ją; wdzięczny za przywiązanie do matki jego, ze smutną żartobliwością jeszcze się jej dawnym narzeczonemu nazywał i dał w upominku dużą bardzo piękną filiżankę sewską z portretem Józefiny. Samej generałowej Gedroiciowej prosił, aby przyjęła od niego nową, piękną karetkę, która by zastąpiła starą, gruchoczącą się po drodze. Ale nie przyjęła daru, choć wdzięczność za chęć zyczliwą czuła:—„Przywlekliśmy się starą do Warszawy“ pisze księżniczka Łucya—„Ojciec nasz już był powrócił. O przywitaniu z nim każdym własne serce opowie.”

Książę Romuald Gedroic wszedł w stopniu generała dywizji do wojska kongresowego. Wielki książę Konstanty wezwał go na wstępie do komitetu, który stanowił o owego wojska organizacji; ale gdy zdanie Gedroicia różniło się zbyt wiele ze zdaniem prezydującego co do regulaminu karności wojskowej, z komitetu się usunął. Karyera jego wojskowa przedstawia długi szereg mężnych czynów i jakgdyby wieloaktowy dramat. W dawnym wojsku polskim służył aż do konfederacji targowickiej i już w wysokiej randze szefa regimentu. W 1794 wstąpił znów do wojska; z Wawrzeckim brał szturm Lipawę, jako szef pułku Sałackiego walczył przy reductach Pragi, w 1795 roku po rozwiązaniu armii wyjechał do Paryża i pod oczyma jego rozgrywała się tam straszna tragedia Rewolucji Francuskiej, wśród której scen krwawych zawarł najpierw z Józefiną Beauharnais, a następnie z Napoleonem tę przyjaźń, która, jak już wiemy z wyżej podanych wypadków, oddziaływała stanowczo na losy całej rodziny. Ze śmiercią cesarzowej Katarzyny, a wstąpieniem na tron cesarza Pawła, wrócił na Żmujdz rodziną, ale nigdy nie strudzony i obywatelskiego ducha zawsze pełny, wszedł znowu w 1812 r., do wojska formującego się pod egidą Napoleona. W czasie odwrotu w 1813 r., mając już obok siebie syna, został wraz z nim wzięty, jako jeńiec wojenny, przez generała Czerniszewa, a sceną jego niewoli jest lodowata kraina nad Morzem Białym. Wiemy, jak córka prosi cesarza Alexandra za ojcem i bratem, jak otrzymuje ich ułaskawienie i rozpierzchła rodzina spotyka się ze sobą nakoniec, łączy się w Warszawie. „Łzy uradowania z odzyskanej wolności ojca połączyły się ze łzami żalu po stracie błogich marzeń, zmienionych w długie pasmo zawodów.”

Lecz trzeba było znowu zapłakać nad nową stratą, nad boleścią nową i ciężką. Syn najstarszy z rodziny, Józef, który pod Wincentym Krasieńskim walczył w Hiszpanii, i pod Saragossą zdobył sobie krzyż walecznych, który obok ojca wstawiał potem swe imię i cierpiał—znalazł się teraz nagle na krwawych polach Waterloo, gdzie wydobyty został spod trupów towarzyszy, z rozciętą przez pół głową—głuchy już nazawsze.

Więc po wyleczeniu nawet przestawał niejako istnieć; umarł dla szerszych, wyższych spraw

świata i zstępował w cień rodzinnego, domowego życia. Następcą ojca dla przyszłości rodu stawał się teraz młodszy, ale ojciec znajdował go „zanadto sfrancuziałym.” Wzrost braterstwa rycerskiego, którym książę Romuald łączył się z Francją, nie był w nim jednak zrzeczeniem się rodzimego ducha, rodzimej formy obyczaju; zapragnął też zaraz poddać syna wpływowi, któreby go napoiły nanowo swojską wodą życia. Szkoła Pijarów na Żoliborzu miała za sobą zasługę gruntownie dawanej nauki i atmosferę uczciwej obywatelskości, tam też syna oddał: „zamknął”—pisze siostra—tylko raz w miesiąc widywaliśmy go w domu.”

Ale i córkom trzeba było pozbyć się „zfrancuziałości.” Dobry, rozumny ojciec chciał im dać w kierunku literatury ojczyźstę wykształcenie wyższe, i kiedy dziś zdaje się pewnemu odłomowi kobiet, że zdobywają jakąś rzecz nową, wstępując do auli uniwersyteckiej, że walczą w ten sposób z jakąś, uciskającą kobietę starą odrębnością, przeszło pół wieku temu generał Gedroic poprowadził córki swoje na wykłady Ludwika Osińskiego w świeżo otwartym uniwersytecie warszawskim. Wtedy przecież rzecz była rzeczywiście niezwykłą: „Trudno sobie wyobrazić wrażenie, jakie sprawiło wejście do sali, natłoczonej studentami, wojskowego, w mundurze z generalskimi szlifami, a obok niego dwóch kobiet—”pisze księżniczka Łucya, a i dla niej ta chwila zdaje się mieć swoje strone wrażenia, sądzić można, że bardzo przyjemnego, bo przyjemność ta przebija się w słowach, które sędziwa kresli w kilkadziesiąt lat później w samotnym domu starości swojej. I nie dziw; teraz onato wstępuje w świat, a świat to jest nieuczyniowski, zaawistnie nieprzychylny, który nie chce uznać zasług, nie na jego polu położonych. Wszystka ta młodzież, zapełniająca salę, powstała, a choć ona żartobliwie dodaje, że nie wiedziano, czy się nisko ukłonić, czy obrazić, za to niespodziewane wtargnięcie nieposwieconych, powstano niewątpliwie w uczuciu jednomysłnym czci i uszanowania dla tych szlif, których ona nie zapomniała zaznaczyć w opisie swoim. Ta duma córki z uczciwego ojca, ta nawet parada czyniona z oznak jego godności—miła jest bardzo. To nie małoduszna pycha, nie licha próżność z majątku, lub nędznego wyniesienia się na pochwyconem, choćby brudnymi rękami kole Fortuny!..

Trzeba dołożyć dla wierności kreslonego obrazka, że obie córki, wprowadzone przez generała Gedroicia, były bardzo piękne. O starszej siostrze to pisze niejednokrotnie; o młodszej wiemy to, z innego wspomnienia rodzinnego, sięgającego owych czasów. Generałowa Rautenstrachowa była piękną niemniej od księżniczki Kunegundy. Rysy twarzy miała klasyczne, nos prosty, czoło wysokie, szlachetnie zarysowane, pod nim oczy duże, pełne blasku i rozumu. Ze przytem była wysoką, wysmukłą, kształtnej kibici, że usta miała, jak kwiat róży pełne, koralowe, bardzo wdzięczne i słodkie w uśmiechu, łagodziło się to, co było w niej zbyt imponującego, a przez co zwaną ją z przekąsem w towarzystwach warszawskich zprzód 1831 r. „Korynną.” Tak ją zapamiętała osoba, o kilkanaście lat od niej młodszą, która też poznała ją już mężatką; ale w pierwszym rozkwicie dziewiczymu, *Korynna* była zapewne uroczem zjawiskiem szlachetnie wyróżniającej się piękności.

Gdy książę Gedroic wszedł z temi pięknymi córkami, w sali „zrobił się taki szelest, że sam prelegent, zaintrygowany, przestał mówić.” Ale znał generała Gedroicia i kazał zrobić nowoprzybyłym miejsce w pierwszym rzędzie krzeseł, i oto prosty bardzo początek dopuszczenia kobiet do słuchania wykładów na uniwersytecie warszawskim. Na drugiej już prelekcji Osińskiego księżniczki Gedroic miały kilka towarzyszek, „na czwartej czy piątej, całe trzy pierwsze rzędy krzeseł pokryły same białogłowy.”

Było to zajęcie się literaturą ojczyźstą i nikt tego nie myślał ganić, tak, jak nie ganiono u nas nigdy kobiecie nauki, która nie stawała do sporu z jej kobiecością, nie wykolejała jej, nie wyla mywała jej charakteru. Mamy tego przykłady

w najdawniejszej przeszłości naszej: nigdy nie strącano u nas kobiety w dół życia, zawsze pozwalano jej w każdym zakresie jego działalności być tem, ku czemu niosły ją skrzydła jej ducha, tylko kazano jej przytem delikatności kobiecego uczucia nie naruszać, zacności kobiecej strzedz.

Owo ucześnie na lekcye Osińskiego dało początek jego bywaniu w domu księcia Gedroicia, a w następstwie wieczorom literackim—sobotom, które gromadziły głośniejszych literatów owego czasu. Osiński był tam osobą pierwszą, jak we *Wspomnieniu rodzinnem* pisze jego autorka: „Między wszystkimi Osiński się odznaczał, najpierw wymową, potem wesołością i dowcipem. Szkoda tylko że był zaskorupiałym klasykiem i rozbiegając dzieła autorów innej szkoły, dowcip swój doprowadzał do złośliwości. Mickiewicz też ostro odbierał ciągi. Przy wieście, który często kończył literackie zebrania, gdy kto dostał bardzo złe karty, rzucał je wołając:—Ciemno wszędzie! głucho wszędzie! co to będzie?—Głupio będzie... Gdy walet zdradzał nadzieje grającego, zwano go Walenrodem.”

Wieczory te były przecież poświęcone jednemu tylko kołku znajomych, ale istniało i drugie, eleganckie, arystokratyczne, wśród którego obie księżniczki były uważane za Paryżanki. Nasładowano ich ubiór, zwłaszcza „Malmaisonkie suknie“ księżniczki Kunegundy. Rodzina zamieszkiwała w domu, później Malcza, na Krakowskim Przedmieściu, zajmowano na pierwszym piętrze obszerny apartament, który niegdyś zamieszkiwał Ludwik XVIII w czasie pobytu swego w Warszawie. Już domu tego oddawna nie ma i ta, która tu spędzała najszczęśliwsze lata swej młodości, daremnie potem chciałaby była odnaleźć z niego choć gruzy. Tu pod wpływem wieczorów sobotnich zaczęła pisać pierwsze swe książki. Powieść: „Emmelina i Arnolf“ została wydana w 1820 r., dwie inne „Ragana czyli płochość“, „Przeznaczenie“—już pisała będąc mężatką, i drukowała, jedną w 1830, drugą w 1831 r. Nie ujawnił się w nich ten literacki jej talent, który potem okazała na innem polu twórczości.

W 1820 wyszła za męża, można powiedzieć: bardzo nieszczęśliwie; za generała Rautenstraucha, człowieka, z którym tak ją łączyć nie mogło, a tak wszystko dzieliło, że związek ten uważać trzeba za takie jedynie smutne małżeństwo, w którym uboga panna szuka chleba i oparcia—utrzymania. Józef Rautenstrauch, pochodzący z miejskiej rodziny warszawskiej, był już wtedy generałem porucznikiem, radcą stanu, dyrektorem komisji wojny—stanowisko było zatem wysokie, z perspektywą, że się jeszcze podnieść może, ale człowiek nie był lubiony przez ogół, złych obyczaj i już rozwodnik. Choć dawny towarzysz księcia Józefa Poniatowskiego, choć do pewnego stopnia zasłużony, jako szef jego kancelaryi, nie zyskał sobie u ludzi sympatii, i nie mógł tem więcej zyskać sobie miłości młodej, wysoko w towarzystwie postawionej panny, której umysł ogarniał szersze i wyższe życia horyzonty, której serce, wreszcie, musiało pragnąć przy piersi swojej innego serca niż to, dla którego bić stawało się teraz obowiązkiem. A jak brzydki był ten człowiek, z twarzą jakby starej baby, której opuszczające się koło oczów zmarszczi, jakimiś paryżkami sprzęzynkami sztucznie wyciągał Franciszek Salezy Dmóchowski (syn) żyjąca kronika owych czasów, która do naszych dni dosięgnęła, opowiadał o nim mnóstwo anegdot niemiłych, dowodzących jak wszystko, od peruki do serca było w nim fałszywe.

A jednak wyszła za niego córka szlachetnego, mężnego, rycerskiego ojca—wyszła (13 Listopada 1820 r.), bo miała już lat 22 i była księżniczką bez posagu!..

Gdy prowadząca do ślubu tego nowożeńca księżna Drucko-Lubecka, rozżalająca się w duszy tem, że był podobno synem siodlarza, rzekła mu:—Generale! pamiętaj, że bierziesz księżniczkę... on cynicznie odpowiedział:—Tak.. księżniczkę bez posagu!..

Wiedział, że kupuje, ale kupił, bo towar mu się podobał.

Biedny towar, ale i nie bez winy. Było snadź w tem sercu młodem zaszczerpione, może z czasów francuzkich zamiłowanie wystawności i warunków życia innych, niż pospolitego tłumu, bo o tem małżeństwie smutnym, z wielu względów bolesnym, o którym mogła tylko, albo, dla przykładu innych, serce sobie rozdierając, powiedzieć całą ciężką prawdę, albo milczeć—ona w odpowiedzi na błędnie podane z jej życia wiadomości Władysława Zielińskiego (w „Kłosach“) mieści szczegół do niczego niepotrzebny, zwłaszcza w notatce tak krótkiej, nawet nieobejmującej najważniejszych i ogół mogących obchodzić faktów jej życia. Wspominając, że zajmowała z rodzicami po powrocie z Francji do Warszawy pomieszkanie, w którym niegdyś mieszkał Ludwik XVIII, pisze naraz: „W roku 1820 generał-lejtnant Rautenstrauch, zapobiegając zbytniej dla mnie i rodziców moich fatydyze dwóch w dniu jednym ślubów; cywilnego i duchownego, wszelkie potrzebne akta z właściwymi urzędnikami do nas sprowadzić kazał tak, że ślub cywilny w głównym odbył się salonie.“ Nic więcej ani poprzednio, ani potem o tym ślubie, o tem małżeństwie smutnej pamięci—nic, żadnego szczegółu prócz tego wspomnienia, że dla niej łamał się publiczny porządek rzeczy!

Godność żony i kobiety poczęła w niej prędko cierpieć, poczęło w niej cierpieć i uczucie wyższe, gdy mąż w przykrym dla niej kierunku coraz dalej się posuwał; to też już w 1827 nastąpiło rozłączenie i tylko dla względów światowych, dla oczu ludzkich, młoda małżonka mieszkała w domu mężowskim, który podzielili się na dwa zupełnie osobne apartamenty: pani i pana. Ojciec już nie żył. Sędziwy, spracowany życiem ciężkiem, książę Romuald Gedroic zamknął oczy w 1824 roku i druga córka zawarła coby prędzej małżeństwo, którego jej bronił, a jak siostra pisze o niej, jeszcze przed skończeniem się żałoby! To życie żołnierza zasługiwałoby na zebranie go w obraz jeden, który byłby i silnie zajmujący, i wzruszający silnie. Od Paryża do Morza Białego! od przyjaciela Kościuszki do zięcia Rautenstraucha! Umarł w tych pokojach na Krakowskim Przedmieściu, w których błąkało się wspomnienie Ludwika XVIII; córka pisze, że oddawała konającemu ostatnie posługi w tymsamym wielkim salonie, w którym ślubowała Rautenstrauchowi, ale w tem wspomnieniu drży w słowach jej inna nuta—czuźal.

Gdy siostra jej poszła za Białopiotrowicza, który też w Warszawie przebywał, i jak *Wspomnienie rodzinne* podaje, bawił się w malowanie, matka przyjęła oboje do siebie. Staruszka już też bardzo sędziwa (Karolina z Borzymowskich) zlekła się w 1830 roku możliwych niepokojów wojny, i wyjechała do Paryża, zawsze z córką starszą i zięciem, a i młodsza wkrótce podążyła tam za nimi. Kiedy Rautenstrauch, jakoby napadem paralitycznym tknięty, zaległ łóżko, żona, w której idea obowiązku i poprzysiężonej wierności małżeńskiej snadź tkwiła uczciwie, zostawiając poza sobą wszelkie, a nieurojone, zażalenia przeciw mężowi, zajęła przy tem łóżku miejsce troskliwej dozorkczyni chorego, na którym wytrwała wiernie dziewięć miesięcy, gdy nagle, ten chory wstał, i ona spostrzegła, że była ofiarą komedyi! Teraz małżonkowie się rozstali!

Ale i teraz jeszcze nie było żadnego, prawnego pomiędzy nimi rozdziału, a tem mniej rozvodu. Żadne z nich już o nowych związkach myśleć nie chciało, a żadne też nie pragnęło przykuwać do siebie drugiego; i odtąd zaczyna się podróżnicze i zarazem rzeczywiście literackie życie wolnej już kobiety. Dojrzała umysłem, umie inaczej patrzeć na świat i ludzi, a wszystko też zmienia się jej przed oczyma. Już teraz nie tacy, jak Osinski, ludzie stają się przewodnikami dla jej umysłu i budzą w nim, co tam było siły twórczej. W Paryżu w 1832 r. poznaje Mickiewicza, a wraz z nim całą plejadę poetów na-

szych i myślicieli; z Mickiewiczem łączy ją nawet stosunek bliższy, silniejszy, w którym ludzie upatrywali nawet w sercu poety pierwiastek gotowszego, niż przyjaźń uczucia. Ale dla niej świat uczuć, świat miłości już był zawiązanym i może dlatego, aby się nie dać ować temu, co już dozwolonym jej nie było, wyjeżdża z Paryża do Krakowa. Siostra jej Białopiotrowiczowa, która w Paryżu pozostała nie była też szczęśliwą, jak we *Wspomnieniu rodzinnem* siostra pisze. Były tam rozmaite małżeńskie zatargi: o wychowanie córki najpierw, a potem o obrażającą męża niewłaściwość, że żona w stosunkach swych ze sferami arystokratycznymi nie chciała używać nazwiska mężowskiego, posługując się panięmskim, z tej jakoby przyczyny, że jest pod nim więcej znaną we Francji. Czy przecież nie chodziło tu o mitrę książęcą, czy pycha arystokratyczna nie była tu złym pierwiastkiem rozkładającym szczęście? Dla niej to—dla tej pychy, starsza siostra zakłada smutnie związek z człowiekiem tak ukochanym, że podała mu rękę poprzez złamane posłuszeństwo córki i żalobną jej suknię; dla niej, jak wszystko przypuszczać każe, młodsza stała się żoną człowieka, bez sympatyj u ludzi, stała się generałową Rautenstrauchową!

Przed zgonem męża, w roku 1842, żona wróciła do niego dla spełnienia ostatniego obowiązku, i odtąd mieszkała już wciąż w kraju, oddana pracom literackim, które zapełniały pustkę zwichniętego, zmarnowanego życia. W roku 1853 osiadła na stałe w dawnych Puławach, zamieszkując najpierw willę „Samotnią“ a potem „Cieni-stą,“ gdzie nie przestawała pisać. Najprzód przetłumaczyła na zamówienie księgarza Merzbacha słynny swego czasu, i do klasycznej już literatury francuzkiej należący romans p. de Staël: „Korynna,“ której nazwę dawano jej niegdyś w szczęśliwych latach tej młodości, gdy piękność, przy górnych porywach umysłu czyniła z niej istotę wyniosłą, z nimbem poezji nad czołem. Potem napisała „Kalendarzyk wspomnień“ wydany we Lwowie w r. 1861 pod pseudonimem „Pauliny“ Mikułowskiej; książka ta bardzo mało rozpowszechniona i znana, ma być pod obstoną pseudonimu jej własnymi pamiętnikami, i jeżeli późniejsze jawnie już i jasno malujące dzieje jej życia, zniszczonemi przez nią zostały, jak p. Kazimierz Kraszewski z ust jej słyszał „Kalendarzyk wspomnień“ byłby jedynym źródłem do głębszego poznania jej wewnętrznej istoty.

Z dawniejszych jej prac pozostało dzieł cztery: „Wspomnienia o Francji“ (Kraków r. 1839), „Ostatnia podróż do Francji“ (Lipsk, r. 1841), „Miasta, Góry i Doliny“ tomów pięć, (Poznań r. 1844), „W Alpach i za Alpami“ tomów 3 (Warszawa, pierwsza edycja r. 1847, druga r. 1856). Wszystko to są rzeczy wyższego znaczenia, podróże, jakich u nas, w chwili, gdy się ukazywały, nikt dotąd nie pisał, a które i dziś wartości swojej nie tracą, jako opisy krajów i ludzi, jako sądy o przedmiotach sztuki. Szczególniej w „Alpach i za Alpami“, ta strona książki daje jej nie chwilową tylko wartość i wykazuje w autorce kobietę wyższego umysłu i wykształcenia, z wysoko rozwiniętym smakiem i wyrobieniem estetycznym.

Życie jej, od dziecka pełne wrażeń i widoku rzeczy wielkich, które przychodziły uderzać jej serce i oczy, było długie, bo umierając miała lat 88. Śmierć zastawała ją spokojną, bez bojaźni przed sobą a zapewne i bez żalu życia, przed którego końcem już sobie przygotowała naprzód swój ostatni—trumną, w którą po zawarciu powiek w d. 2 Maja, złożono jej zwłoki i dla pochowania w rodzinnym grobie na Powązkach, odwieziono do Warszawy, gdzie pogrzebał je książę biskup Ruskiewicz.

M. Ilnicka.

BOŻY GNIEW

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

— Jest to przecież człowiek — wtrąciła królowa — który i wielce pożytecznym być może i bardzo szkodliwym być potrafi. Lepiej go mieć z sobą, niż przeciwko sobie.

— Jaby wolał — odparł żywo król — ani za ani przeciw go nie znać, bo mi wstrętnym jest. Powiadają o naszym protoplaście Jagielle, że odoru jablek znieść nie mógł; otóż ja tak samo, odoru tego podkanclerzego nie znoszę.

Uśmiechnęła się królowa.

— Niezapominajcie, że królem jesteście — rzekła — wkłada to obowiązki. Wszak my obcować musimy ciągle z ludźmi nieznośnymi.

Król mocno westchnął, ale dla odwrócenia rozmowy, począł mówić o obrazie chełmskim, o ślubie uczynionym do Częstochowy, o przepyszonym ołtarzu hebanowym ze srebrem, który tam fundował Ossoliński, o obrazach cudownych w Bełzie, w Czerwieńsku; w innych miejscach. Chełmski obraz miał być zabranym do obozu i towarzyszyć w ciągu wyprawy.

Królowa milczała, odezwała się potem o swych francuzkich zakonnikach, które osiedlała w Warszawie, o ks. de Fleury, spowiedniku swym, o wyjeździe i wielkiej ochocie towarzyszenia mężowi, i tak ten nieszczęśliwy podkanclerzy został zapomnianym.

Nazajutrz król, który dla żony był nadzwyczaj powolnym, starał się podkanclerzemu okazać nieco względniejszą, przemówił kilka słów, dał mu coś sobie opowiedzieć, nie unikał go.

Radziejowski natychmiast się dorozumiał wpływu pani — i mocno był tem uradowany, ale względem króla nie zmienił postępowania.

VII.

W obozie pod Lublinem, gdzie się zrazu wojska ścigały, daleko teraz było więcej życia i ruchu, niż w stolicy. Zbierały się komputowe pułki, a każdy ze starszych gotował się do tej wyprawy, już zawnazdu obrachowując ile, według prawa, trwać może pospolite ruszenie i—wojna. Nie troszczono się o jej skutki i następstwa, ale o kosztą i ciężary... Tylko stare rycerstwo cieszyło się wojną.

Znajomy nam Xięzki, który w Sobieskich pułku służył, teraz w dywizji Lubomirskiego rotmistrzował i tu z sobą przyniósł swój humor, zawsze rzeźwy i wesoły, ducha wojaczego i ochotę do walki.

Obfitowała też ona w podobnych jemu weteranów posiwiających na usługach Rzeczypospolitej, dzielnych wojaków, ale ludzi niepospolitej oryginalności, jakiej dziś, na wygładzonym świecie i jak szpalery obciętym, wielu nie widać.

Wówczas jeszcze rośli ludzie, jak drzewa w lesie, swobodnie, puszczając fantazyi swych gałęzie.

Xięzki ze swym ostrym językiem a dobrem sercem, choć sływał szeroko, nie był jeszcze jedynym z tych, co ich sobie w wojsku palcami pokazywano, a o których chodziły legendy takie, że się im wierzyć nie chciało.

Przed wyruszeniem króla z Warszawy, gdy Strzębosz się przekonał, że w chorągwi królewskiej, dla wymaganych od towarzyszy uzbrojeń i wyposażenia, wytrwać mu będzie trudno, odprosił się do wuja i pośpieszył do Lublina. Wuj mu listem do wyszyftowania się przy swym boku dopomódz obiecywał; miał u niego zape-

wniony wikt i opiekę, puścił się więc w imię Boże.

Zdawało mu się, że gdy tu przybędzie nie łatwiejszego nie będzie miał nad wyszukanie Xięzkiego, ale zawóz, jak mówiono, był tak wielki, że choć Staszka znali wszyscy, nikt nie umiał powiedzieć, gdzie go szukać, nie wiadano nawet czy pod namiotem był w obozie, czy na mieście.

Cały dzień strawiwszy na przepytywaniu, dopiero pod wiezór, zmęczony, głodny, wywołczywszy się po Winiarach, po Tatarach, po uliczkach i rynekach, Strzębosz trafił na gospodę Xięzkiego.

Powitanie było bardzo serdeczne. Zdał zaraz examen Dyzma z tego, co miał, i z tego, czego mu brakło.

U Xięzkiego, jak zwykle, izba pełna była przyjaciół, ale tu obejrzawszy się po nich Strzębosz, dopiero sobie mógł stworzyć jakieś pojęcie starego rycerstwa. Dwu twarzy nie było do siebie podobnych, a żadnej takiej, na którą patrząc człowiek nie musiał myśleć i zgadywać, co to za jeden może być.

Podziwiani byli nateraz n-jdziwaczniej, jedni zcerkieska, drudzy zta arska, powłosku, od fantazyi; czapka u każdego inna, odzienie krótkie do zbytku, to długie bez miary, a twarze? pokiereszowane, porąbane, niektóre prawie do kosci, ta bez oka, inna z policzkiem wklęsłym od kul.

Ale sroga przy tem buta u każdego, a humory tak rozmaite, jak oblicza.

Niektórzy, jak siedli na ławie i podparli się na stole rękami, siedzieli godzinę słowa nie mówiąc, innym się gęba nie zamykała; nucili niektórzy.

Wzięto zaraz młokosa na spytki.

— Kiedy król z Warszawy rusza? czy prosto do Lublina ciągnie? Czy prawda, że królowa z fraucymerem za nim dąży.

— Niechżeby o skrzypkach nie zapomnieli — mówił Xięzki, — nim Tatarskiego zatańczym, wartoby gawota też pójsć..

— Aleć to śmiechu warto — wtrącił jeden stary — mało i tak wozów i ciurów mamy, żeby jeszcze babami tabor powiększać? Przyjdzie do starcia z Kozactwem: trzeba będzie dywizyą na straży około podwik postawić.

— Muie się zdaje — przerwał Strzębosz — że królowa tylko męża przeprowadzi, ale gdy o nie przyjaciela zasłyszemy, do Warszawy powróci. Mówią wprawdzie o matce jej, że prawą Amazonką była i bardzo wojowniczego ducha, ale nie sądzę, aby na koń się chciała.

— Co się króla tknie — mówił dalej Strzębosz — nikt nigdy go tak podbudzonym do rycerskiego rzemiosła nie widział, jako teraz. Niem żyje, o niem myśli, budzi się, dopytując o wojsko; po całych dniach się niem zajmuje.

Daj tylko Boże, aby ruszenie dopisało! Drugie wici już poszły, a trzecie pewnie ztąd wyprawione będą.

Przez bardzo długi czas trwały rozmowy u Xięzkiego, ale o mroku, ponieważ po mieście trudno było się nocą dostać do gospód, wszyscy się rozchodzić zaczęli.

Strzębosz, jako tako ludzi i konie pomieniawszy, został przy wuju.

— A! ojcie mój! — zawołał Dyzma, gdy się porozchodzili, i zostali sami — jak mi Bóg miły, żyjąc już na świecie trochę czasu i ludzi widziałem gromadkę, ale takich jakich tu dziś spotkałem, wcalem nie spotkał.

Xięzki się rozśmiał.

— Cóż tym tam w nich widzisz tak osobliwszego?

— Wszystko — mówił Strzębosz — począwszy od twarzy aż do butów, nie wyłączając mowy i obyczajów

— Boć to nie są mieszczuchy — mówił Xięzki — wychowane w klatkach, ale prawe stare rycerstwo, zrosłe i posiwiade w polu — ładzie, co życie ciągle stawić zmuszeni używają go też poswojemu.

Widziałeś na ławie ogromnego tego w opończy niepoczesnej, z twarzą chudą, głową śpiczastą, policzkami wciągniętymi, oczyma przeszywającymi, niemłodego już, pana brata który dłonią

ciągle stół tarł, tak ręka z bezczynności świeżbiała?

U nas to sławny człek — mówił Xięzki — Teraz to się na mało co nam przyda; ale niechby-no na Wołoszczyznę, na zajęte przez nieprzyjaciela ziemię przyszło isć, bez tego człowieka z głodu-by wszyscy pomarli.

Dano mu też w Inflanciech pono przezwisko „Wielki Picownik Koronny”, bo gdy paszy dla koni, a dla ludzi chleba było potrzeba, gdzie już dziecięciu przeszło i nie znalazło nic, nasz Węgorzewski niewiadomo w jaki sposób i chleb i obroki zdobywał Wyprawiano go, jechał flegmatycznie, rozglądając się, milcząc, postępując, a nigdy z próżnemi nie powrócił rękami.

Oi, co widywali go, jak operował, nie mogli się nachwalić jego przenikliwości. Jak psy tropią zwierza, tak on umiał wyśledzić i schówki i niedostępne kryjówki.

Na tem nie dosyć: znalazł ludzi i budynki ale i tu wszystko pochowane, grab że się i macaj, a czas trać!

Węgorzewski miał taki tryb postępowania z ludźmi, że mu się zdradzali sami. Dopieroż następowało wybieranie, ale za kwitami. Uchowaj Boże, nigdy nie przywłaszczył sobie nic bez skryptu.

— Niech się biedaki choć tym kawałkiem papieru cieszą — mówił. — Czy im zapłacą za to, nie moja rzecz, ja podskarbin nie jestem, a z głodu ludziom i koniom zdychać nie mogę dać.

Na lamenta zaś Węgorzewski, ręce składając, odpowiadał:

— Żal mi was, biedne ludziska, ale wojna ma swoje prawa; odmawiajcie suplikacye od powietrza, głodu, ognia i wojny; ja na to nie mogę nic.

W wojsku to wiadoma rzecz, — mówił dalej Xięzki — wyprawia kogo za chlebem i paszą, a zechce mu się kto okupić pocichu, do talarów kilkanaście i zepchnie na sąsiada. Z Węgorzewskim tego sposobu zażyć nikt nie mógł, bo pieniędzy nie brał od nikogo, ale też nie oszczędził chyba wdowę i sieroty. Zresztą choć go do rany przyłożyć..

Ten, co za stołem siedział, albo raczej leżał na ławie, duży człek, z nosem ogromnym, kościsty, milczący, — nie wiem czyś go baczyl?

— Ale ba! — przerwał Strzębosz — jam ich wszystkich zregistrował; wydał mi się ciężkim i niedźwiedziowatym.

Xięzki się rozśmiał.

— Toż to szermierz sławny, a imię mu Przeclaw Gorzyński. Co ten człek ludzi naścinał tego nie zliczyć, a zawsze w jeden sposób. Prawda, że i konia ma ułożonego potemu. W starciu on zawsze staje w pierwszym rzędzie a z kraju.

Na koniu, że ma nogi długie a korpus krótki, nie widać go tak bardzo silnym. Heca z nim zawsze jedna. Wyjeżdża, niby na hurc, nieśmiało zwolna; pomknie się kto do niego, złoży się z nim raz, drugi — i poczyna uchodzić.

Goni go naturalnie, nieprzyjaciel, zwalnia kroku oddaliwszy się nieco... dopuści go sobie niemal na kark, a potem: jak się nie odwróci, jak nie chlaśnie koncerzem... albo łeb rozplata albo zetnie.

Za czem, otarłszy miecz, wolnym krokiem do szeregu... w ściśniętym rzędzie ciasno mu, nie swój, bije się ale nie tak ochoczko, dopiero gdy może wywabić w pole... tam już jak w domu.

Z tatarskiej raz wyprawy powróciwszy do domu, powiadają, w Trokach przywiózł worek u siodła. Jejmość tedy uściskałszy małżonka, nuż jego węzełki rozpatrywać. Trafiła na worek — a to co? Pan Przeclaw się skrzywił. — E! to... je chaliśmy jodłowym lasem, rydzów sobie zbierałem, ale bodaj już świeże nie będą.

Jejmość nuż węzełki rozplątywać, kiedy spojrzę wewnątrz, krzyknęła i mało nie padła. Worek był pełen poobcinanych uszów tatarskich.

Cacieli zaraz precz cisnąć, ale kazał policzyć wprzódy. — Już tam nie wiem ile ich było — zaklikał się tylko, że więcej niż po jednym uchu od głowy nie brał.

— Czekaj ino, chłopcze — dodał, śmiejąc się, Xięzki — tylko się po wojsku rozpatrzysz. Nie

królewskie to pokoje, gdzie wymuskani paniczyczkowie, jak woskowe lalki, stoją, jedne do drugich podobne; tu każdy takim jest, jakim go pan Bóg stworzył.

Nazajutrz poszli z Xięzkiem po starszyźnie i do obozu, po znajomych i przyjaciółach Staszka. Strzębosz, który nigdy między takimi ludźmi nie bywał. — uczuł, jakby się w świeżej skąpał wodzie. Lecz pocieszyć się, ale i zafrasować czem było, bo natrafili pod namiotami na waśnie, na guzy, na takie zajścia, że ich żadna siła hamować i uspokoić nie mogła.

Sądy wojskowe, postanowione przez króla, z trudnością wszystkiemu zaradzić mogły, bo oprócz towarzystwa i pocztowych, siła ciurów i czeladzi kręciło się i dokazywało, sądząc, iż przez to, że do obozu należeli, wszystko im już było wolno.

Szły więc nieustające skargi, bo po przedmieściach napadano na dworki i excessa się działy okrutne, a wpadli potem rozpasani w tłum, to ich tam ani wyszukać było, ani poznać, a swój swego nie zdradził.

Tymczasem jednak bardzo tu było wesoło. Z miasta przekupniów mnóstwo pod szalaszami szynkowali, sprzedawali żywność, rozmaite przybory a i podejrzanych andaraczków snuło się mnóstwo, które podówczas zwano, nie wiem zkąd „fraucymerem S. Marka?”

W niektórych namiotach panów rotmistrzów i pułkowników, u dowódców oddziałów, stoły, jak na wsi, dla gości nakryte i zastawione po całych dniach trzymać musiano.

Gdzie kopijnicy szli, zdawa ich było można poznać, bo albo lasem stały powbijane w ziemię kopie z długimi do ziemi proporcami, albo na wozach ogromnymi leżały kupami. Każdy też oddział miał zapasne, bo to się w pierwszym starciu kruszyło łatwo bardzo.

Obozowisko zdawa niejednakowo wyglądało, bo było tam wszystkiego pełno i wozów i szalaszów kleconych z tarcie i takich paradnych że jak kaplice wyglądały, i płóciennych namiotów obok.

Na chorągwiach też nie zbywało.

Nauczyl się tu dopiero Strzębosz, że chorążego tytuł nie był próżnym, a do pospolitego ruszenia, gdzie trzeba było bronić czci swej ziemi, dobierano zwykle na chorążych silnych, dzielnych, takich, coby nie lada się komu dali obalić.

Już samo dźwiganie drzewca z proporcem nie łatwe było, a w bitwie, gdy chorągiew szła przodem, nieprzyjaciel zwykle na nią impetem uderzał; bronić jej musiał chorąży, jak to było pod Zborowem, pokrywawszy ciałem własnym, gdy obie ręce postradał.

Na tych panów chorążych było co popatrzeć... rzadko bardzo który z nich postradał, co niósł, i to chyba z żywotem.

Zaledwie obszedł kawał obozu tylko, zakręciło się w głowie Strzęboszowi, taką tu znalazł rozmaitość uzbrojenia i ludzi.

Pułki się jeszcze ciągle powoli zbierały, ustawiły i skupiły wedle dowódców, pod którymi miały służyć. Pułkownika też swojego, Nadolskiego, któremu chciał siostrzeńca przedstawić i polecieć, nie mógł łatwo odszukać Xięzki. Każdemu innemu jeszczeby to trudniej przyszło, ale Staszek był znany wszystkim i miał przyjaciół nawet w tych, których sam ośobiście nie znał; chętnie więc go informowano. Nadolskiego pomimo to nie łatwo było odszukać, choć jako pułkownik — powinien był gromadnie i wystawnie się okazać.

Lecz należał do tych wyjątkowych oryginałów swojego czasu, którzy nie szli owczym pędem za innymi.

Nadolski był — jak mówiono — skąpy i takim się mógł wydawać, chociaż wistocie i właściwiej nazwać go było potrzeba rygorzystą. Gdy inni pułkownicy występowali gościnnie do zbytku, tem łatwiej popularności dorabiając, ów wcale stołów nie nakrywał, a co najwięcej jeśli kogo kieliszkiem wódki i zakąską poczęstował.

— Ichmościom, co do mnie przychodzą, łyżka krupniku, lub zraz pieczeni u mnie nie są tak bardzo potrzebne, a gdy ja pięćdziesięciu ich na-

karmię i napoje, zrobi mi to dziurę w kieszeni. Wolę ubogiemu dać.

Więc ani namiotu wielkiego nie miał, ani tylu wozów, co inni, ni służby i ciurów. Wystawności też około siebie nie cierpiał.

Gdy obóz po kilkakroć przebrnąwszy, znaleźli się wreszcie w kącie, w którym wołokowy prosty namiot Nadolskiego był rozbity, znaleźli go samego jednego z pisarzem pułkowym nad rejestrem.

Człowiek był już niemłody, zawiędry, suchy, z wąsem podstrzyżonym, z głową wygoloną czysto, odziany tak, że się w nim dowódzcy trudno było domyśleć. W namiocie też dostatku wielkiego nie było można dopatrzeć, ale to, co w nim leżało, odznaczało się trwałością i utrzymaniem. Broń lśniła się i błyszczała poczyszczona, siodła aż do sprządek były powycierane z kurzu i opatrzone.

Sam Nadolski w ciemnej opończy na żupan buńczukowy wdzianej, w butach czarnych, wyglądał na hreczkosieja więcej, niż na żołnierza, choć życie całe spędził w wojsku. Lecz był to żołnierz swojego rodzaju, którego się szeregowi więcej obawiali, niż okrzykiwali. Żadnemu z nich nie pofolgował, ale też nikomu ze swoich nie dał czynić krzywdy i opiekował się nimi, jak dziećmi.

Wadziło mu i to w oczach towarzyszków broni, że do związków krzykliwych, do burzliwych kół i konfederacji należeć nie chciał; gdy go drudzy pociągali, odpowiadał:

— Każdy ma swój rozum; czyńcie waszmość, jak się im spodoba, ale mnie dajcie pokój. Ja się o żołd upomnę, ino dla niego nieładu i rozterki a daremno gardłowania nie chcę.

Oratorem też Nadolski nie był i retorów nie cierpiał; gdy przy nim się który do długiej oracyi zabierał, nakładał kołpak na głowę i szedł precz.

— Wodę warzą! — mówił machając ręką.

W codziennem obejściu się człowiek był zimny; ani poznać w nim kto mógł tego jakim się on stał, gdy przyszło wyjść w pole naprzeciw nie przyjaciela.

Śmiało mu się lice naówczas i powoli rozpałał się tak, że w końcu zwykle porąbany, potłuczony, jak bezprzytomny schodził z pobojowiska. Dwa razy był w tatarskiej niewoli, a salwował się z niej małym okupem, przez to, że Tatarzy z odzieży i pozorów ludzi szacowali, więc ów niepozorny Nadolski, za ubożego szlachcica miany, lada czem się im mógł opłacić.

Przez czas pobytu swego na Budziaku i w Krymie, nie mając nic do czynienia, krom że wodę nosił i pono w żarnach im tam proso otłukał i wyuczył się języka mówionego, co mu się potem często przydawało, ale pisma arabskiego i tureckiego nie znał. Chciał go p. Otwinowski uczyć; podziękował, mówiąc: za stary jestem, a tłumaczem już nie pretenduję zostać.

Człowiek był poczciwości rzadkiej i pobożny; ale z nabożeństwem, gdy drudzy się chwalili, on się prawie ukrywał. Z tego, co czynił, zresztą nie rad się komu tłumaczył.

Nie potrzeba nawet mówić o tem, iż jak drudzy chętni chlebobdawcy, co marnowali grosz łatwo, Nadolski popularnym w wojsku nie był, ale go szanowano.

Gdy wszedłszy do namiotu, Xięzki mu siostrenca okazywał i polecał, Nadolski pilno mu się przyglądał, od stóp do głów go mustrując.

Dowiedziawszy się, że ze dworu wprost tu przybywał, trochę się skrzywił.

— Nowicyat jeszcze waszmość u mnie odbywać musisz — rzekł — bo my tu prosto żołnierze, a przybywasz ztamtąd, gdzie się ludzie rozpieszczają.

— Właśnie też — przerwał Xięzki — chciałem go tu mieć, aby mi nie zbiał na dworze. Chłop zdrów, a ochotę ma; niech się zahartuje, będzie z niego żołnierz.

— Co daj Boże — dodał Nadolski i spytał Strzębosza:

— Rychło li król pan nasz miłościwy przybędzie?

— Sądzę, że wprędce — rzekł Dyzma — bo on sam niecierpliwym był, zwłaszcza, gdy od

hetmana Kalinowskiego nadeszły wieści, ale wybór ze dworem nie łatwy, a i królowa jmość przeprowadza...

— Słyszałem o tem i wierzyć mi się nie chciało — odparł Nadolski — ale my tu komedyi grać nie będziemy na któreby patrzeć zabawką było. Jejmościom, choćby i królowej pani, tu nie miejsce.

— Oprócz królowej innych też pono wybiera się za nią wiele — szepnął Strzębosz.

— Tego nam brakło — zamruczał Nadolski — Kozacy się chyba temu uradują, bo kobiety bez klejnotów i fraszek nie pojadą, a to łup dla nich pożądany.

Splunął pułkownik, zajrzał potem w rejestr pisarza, który z piórem zawieszonym nad papierem siedział, oczekując na dyktowanie — i rzekł do Xięzkiego:

— Weź że wmość nowicyusza w swe ręce a na początek mu nie folguj, chcesz-li mieć z niego żołnierza.

Na ucho zaś rzekł Xięzkiemu:

— Papinkowato mi coś wygląda.

I na tem się posłuchanie skończyło, bo Nadolski do rejestru powrócił, a to znaczyło, że mu przeskadzać dłużej się nie godziło.

Powracali już we dwu, przeciskając się pomiędzy namiotami i szałasami, wśród wozów i koni, gdzie częstokroć trudno było jednemu się przesliznąć, gdy wielka wrzawa, okrzyki, wiwaty, śmiechy zdala się im słyszeć dały od wielkiego namiotu, otoczonego kilku mniejszemi.

Oprócz nich stały w tym samym obrębie woźni opasany, szałas, budki i dwie w ziemi wykopane kuchnie buchały obłokiem dymu.

Xięzki się zatrzymał chcąc, gdyby można, uniknąć tego zbiegowiska, które pod namiotem wielkim widać było uczujące. Śniany i opłotki były popodnoszone. Około stołów na beczkach ze drzwi powyrywanych po szopach i stołach ustawionych, liczne, wesołe bardzo zabawiało się towarzystwo.

— Jak nas tu pochwyć — odezwał się Xięzki — nie łatwo wyrwać się im będzie. U Nadolskiego nie było na czem sięś i gdzie się w kilku obrócić, ale u pana Strażnika polnego Maryana Jaskulskiego, jak widzisz, od rana do nocy, w świątki czy piątki, zawsze tłumno.

Co temu człowiekowi zjedzą i wypiją, starczyłoby na utrzymanie siła żołnierzy, ale Jaskulski na już taką naturę: gotów koszulę zdjąć, aby go nie posądzono o oszczędność i sobkowstwo. Pewnie też dzieciom nic, krom długów, nie zostawi. Człowiek z kośćmi poczciwy, żołnierz dobry, rzecz swoją zna, ale worek dziurawy. Co pocznie, gdy tam przyjdzie wyciągać ztąd? — nie wiem, bo, że się już wszystkim winiarzom i sklepom korzennym zadłużył... to pewna.

Xięzki szukał naprózno przejścia, któreby mu wyminał Jaskulskiego dozwalało, ale naprawo urwana była ziemia i stok tak stromy, iż tędy ujść nie było sposobu, a wlewo namioty stały gęsto spojone między sobą wozami, przez któreby chyba przełazić przyszło, co było niepodobniestwem, bo naładowane wysoko niedostępne były.

Nie pozostawało więc nic, tylko się bokiem przesuwając, gdyby można, niepostrzeżonym, co dla Xięzkiego, ulubionego i znanego wszystkim, było całkiem niemożliwym.

To też zaledwie się przybliżyli ku namiotom, Kłodziński, rotmistrz stary, z potężnym kubkiem stojący z kraju biesiadujących, krzyknął:

— Staszek! Stój! hasło! Nie ujdiesz! wzięto. Nie wie hasła!

A tu już gromadą zpod namiotu rzucili się towarzysze wołając — „Xięzki! Xięzki!“, i Jaskulski sam wypadł naprzeciwko niemu, krzycząc:

— Gdzie? gdzie? a dawajcie go tu... dawajcie!

Uchodźć już nie było sposobu.

Przed nimi stał pan Strażnik polny i uśmiechniętą twarzą witał Xięzkiego, jako pożądanego gościa, choć pod namiotem miał już ich więcej pół setka, dobrze podochoconych...

Średnich lat, ale młodo bardzo wyglądający, świeży, rumiany, pięknej twarzy rycerskiego wyrazu, pan pisarz polny miał w sobie coś tak po-

ciągającego, że się jego uprzejmości oprzeć było trudno. Przyjacielski, usłużny, dobry, zawsze gotów i do wypitej i do wybitej, do godzenia spraw, i łagodzenia waśni, był jednym z ulubieńców obozu i znanym niemało wszystkim.

Ze stroju dosyć kuso obciętego nową modą, świeżego i starannie uszytego, choć już potarganego i przy stołach przed czasem poplamionego, widać było, iż Jaskulski ubierać się lubił i chciał wyglądać pięknie. Znano go też i z tego, że do kobiet lgnął, a one za nim przepadały. Wąsik do góry podkręcony, włosy w puklach, oczy czarne pełne ognia, usta rumiane uśmiechające się, policzki różowe, cera świeża, daleko go młodszym czyniły, niż był.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ROMANTYZM POLSKI

w pojęciu Brandesa.

(Dokończenie).

Romantyzmowi polskiemu przyznał Brandes tę wyższość nad zachodnim, że obce mu były dążności wsteczne pod względem religijnym. Kiedy w Niemczech za rycerzami i upiorami zjawiała się chorobliwa religijność i sympatya dla średniowiecznego wszechwładztwa, kiedy Schleglowie zespalali romantyzm z katolicyzmem, w Polsce nie przerzucano się wprawdzie na bieżun przeciwny, ale oddając Kościołowi, co jego, stwierdzano poezją własną fakt, że człowiek jeszcze i poza religią boskość swoją objawić może. Niewytłomaczoną pozostała w odzycie ścisła łączność ludzkich tonów cierpień z religijnym tonem wiary w wyższą, w rządach świata czynną i tajemniczo w sprawę jego wkraczającą potęgę. Ten mistycyzm, na którym skończyli wszyscy nasi trzej wielcy poeci — a nie tylko Mickiewicz i Słowacki — tkwił już w ziarnie owych natchnień, które wieszczów naszych, w ich najistotniej romantycznych a najmniej egotycznych utworach zbliżają do proroków Starego Testamentu. Na olbrzymie głębokością i wzniosłością swoją ponad miarę warunków i sił rzeczywistości wzbijające się uczucie — świat doczesny i jego czynniki były zbyt małe, wątłe i lichy: musiano albo wytworzyć świat nowy, z nowym duchem naczelnym i nowym moralnym porządkiem, z nową organizacją ontologiczną; albo też skończyć na samobójstwie rozpaczy. Jakkajsilniej powątpiewamy o tem: czyby Shelley mógł wywrzeć jakkolwiek wpływ na Mickiewicza i innych poetów, gdyby go byli poznali; przeciwnie, mielibyśmy, że nie było dwóch bardziej sprzecznych, nawzajem wyłączających się kierunków nad te, jakimi postępowały siły twórcze romantyzmu polskiego i humanitarnego panteizmu angielskiego. Tak samo Bóg Fausta w rozmowie z Małgosią nie mógł przemówić ani do Mickiewicza, ani do żadnego z poetów wielkiej doby natchnień. Ani osobistość Jowisza wejmarskiego, ani jego dzieła podbić nie zdołały twórcy *Oly, Farysa* i Konrada; podobnie same dzieła nie zjednały dla siebie ani Słowackiego, ani Krajskiego. Brak jednego panującego nad innymi uczucia, równowaga i spokój bez cierpień i bez miłości przedmiotowości orła szybującego nad nizinami ziemskimi, ale przez ten orli lot właśnie znieczulonego na bezpośredniość wrażeń — wszystko to rozkopywało przepaść między przedmiotową, wszechludzką, kosmopolityczną a najdoskonalej podmiotową z własnej i ze zbiorowej indywidualności wykwitłą poezją poetów polskich. Jakimi być zaczęli, takimi musieli już pozostać, bez złamania się i zwyrodnienia.

Jeżeli Brandes dochowa wiary sobie i literaturze polskiej — na tych jej wyżynach, na których pobyt rozkoszą jest dla światłego umysłu — to z czasem spotkamy się w jego badaniach z innym, niż dziś powszechnie przyjmowany, po-

działem romantyzmu. Zna omity krytyk odosobni nam najpierw poezją ogólnie-ludzką, kosmopolityczną, od tej specjalnej, którą dziś już tak dobrze pojął i określił; potem oddzieli poetów krajowych od pozakrajowych, odróżni romantyzm ideowy od zjawiskowego, oznaczy i uporządkuje żywioły realizmu, komizmu i satyryczności i wskaże to, co wydał z siebie zachwyt dla zewnętrznego piękna natury, co zrodziło poetyckie współczucie dla nędz społecznych, i wreszcie czego dokonało natchnienie poetów w zakresie zagadnień w najobszerniejszym znaczeniu humanitarnych. W odczytach obecnie wygłoszonych—rzecz zadziwiająca, gdy autorem ich był Brandes—poeci nasi jako myśliciele, jako umysłowo wytwarzające i zbierające w sobie pojęcia o porządku świata ludzkiego, jakim być powinien—wystąpili w tak błędnych, nikłych zarysach, że z tej strony prawie wcaleśmy ich nie ujrzeli. Dalsze poznawanie dzieł i różniczkowanie przekonań o nich powziętych—doprowadzi nieochybnie Brandesa do oddzielenia *Pana Tadeusza* od właściwej poezji romantycznej rozpatrywanego okresu. Jestto ogólnik powtarzany powszechnie, jakoby *Pan Tadeusz* stał na szczycie naszej poezji romantycznej. Może on stać na szczycie naszej poezji wogóle i niewątpliwie jest nie tylko arcydziełem, ale drogą własnością duchową narodu; jednakże, jak w samym Mickiewiczu wyłamał się z karbów jego normalnej twórczości, tak w dziejach poezji polskiej danego okresu—odrębne zajmuje stanowisko. Nie było może nigdy poematu, któryby tak wyraźnie zaświadczył o nowej epoce w rozwoju indywidualności człowieka i geniuszu poetyckiego, jak właśnie *Pan Tadeusz*. W rozwoju Mickiewicza sam przez się wypełnił on nową a ostatnią już dobę jego działalności na polu poezji. Po r. 1834 widac już tylko rzadkie bardzo błyski zachodzącego słońca. Na Trzeciej Części skończył się Mickiewicz dawny—z pierwszym wierszem *Pana Tadeusza* zaczął się nowy—aby powoli zastygnąć i przemienić się w człowieka czynnego. Poetyczność w nim nie zmarniała, choć działalność poetycka ustąpiła; był podawnemu wzniosłym i wielkim poetą w czystym a pięknym jak kryształ charakterze, w najszerszym uczuciu, we wszystkich zamysłach z tak wątlami siłami a olbrzymią wiarą podejmowanych. Najwyższy ten czyn poezji obyczajowej—epopeja *Pan Tadeusz*—na jaki zdobyły się wieki nowożytnie, *Pan Tadeusz* wobec rdzennie idealistycznej poezji naszej z epoki wielkich natchnień jest pierwszym i od razu największym dziełem tego właśnie realizmu, którego rozwoju spodziewa się Brandes, zachęcając do niego poetów dzisiejszego pokolenia.

Radzi mianowicie Brandes współczesnym, aby porzucili temata z przeszłości, które dawniejszych najbardziej nęciły: taka twórczość nie zdolna podbić sobie obranego przedmiotu, w stopniu dla siebie potrzebnym, zdaniem prelegenta będzie zawsze ułomną; trzeba żyć z wiekiem swoim i z niego kruszać iskry rozpalające natchnienie; *Pan Tadeusz* wytknął drogę teraźniejszemu i przyszłemu poetom polskim. Literatura polska musi się unowocześnić, stać się wyrazem życia wieku—woła Brandes. Zapewne! ale jakim być ma to unowocześnienie się? i z jakimi połączonymi ofiarami? Czy koniecznie poezja—bo właściwie krytyk duński poezja ma na myśli—musi już sprzeniewierzyć się duchowi wieku, jeśli tylko zechce zwrócić się do przeszłości? A przyjmując nawet za kanon niewzruszony to, że się wszyscy w deptaku wieku obracać powinni, czy koniecznie potrzeba być poetą realistycznym aby być wogóle poetą, t. j. rozpalic i przyciągnąć? Sam Brandes daje sobie odpowiedź wręcz przeciwstawiającą się radzie, jaką młodemu czynnemu dziś u nas pokoleniu poetów zostawił. Ów „romantyzm nieśmiertelny“, który „nawet w epoce realizmu zachował swą siłę i wartość“—ten „żywioł zdrowej exaltacji“, ten „dar wszystkich natur poetycznych“—albo złudzeniem jest tylko, albo też istnieje własnym prawem swoim i z własną swą treścią—z własną możliwością czynów. Powołaniem jego nie może być usprawiedliwienie tych lub owych teorii i teorematów—bo nie dla teorii istnieje poezja—ale wytwarzanie pię-

kna i przykuwanie do niego dusz ludzkich. Jakkolwiek drogą dojdzie natchnienie do tego celu poezji, uznać ją i uszanować potrzeba. Jak piękno nie potrzebuje być koniecznie idealistycznym, tak samo jedynowładztwo realizmu jest tylko przywidzeniem małych, w deptaku wieku z okularami na oczach kręcących się estetyków. Sprawę zasady powszechnej to mirmidoństwo zacietrzewione przedzierza w sprawę osobistego smaku i nawyku. Są tacy, którzy nie lubią dramatów historycznych—i dlatego dramat taki niema dla nich racji bytu; są znowu inni, co nie nwidzą poezji lirycznej; są co ziewają w przeszłości i wrzeszczą o teraźniejszość, chociażby z rynsztoka. Innych drażnią wybuchy egotyczne; ten i ów chciałby zawsze i od wszystkich spokoju i miary, silnego rysunku, lub silnego kolorytu; jedni chcą płakać, inni śmiać się; inni znowu wszelką duchowość nazywają spirytyzmem, a wszelkie drgnięcie religijne mistyką; odmienni od nich, a niepoprawny, jest rodzaj tych, którzy wymagają od poezji nowożytnej rozumu naukowosci lub apostołstwa. Czyż może być wobec tylu wymagań i upodobań, tylu niechęci i wstrętów—jakkolwiek jeden jedyny typ, jedyna metoda poezji? Czas już pojąć stosunek—tak zwanego „ducha wieku“ do prawdziwego, zwewnątrz osobistości promieniającego geniuszu. Im kto mniejszy, tem doskonalej ducha wieku w sobie odbija; więksi sami odbijają się w nim—bo sami go tworzą. Duch wieku jest zawsze tylko duchem chwili. W zakresie literatury jest nim obecnie duch realizmu. Ale niech-no się zjawi wyższy talent, geniusz prawdziwy, wszczepiony w indywidualność oryginalną, nawskrośowym „nieśmiertelnym romantyzmem“ brandesowskim przejętą: a w jednej chwili potężny duch wieku złoży kornie swe berło pod stopy idealizmu. Bo ów „nieśmiertelny romantyzm“, jakieśmy to przed laty, pisząc na tem miejscu o Fredrze, zauważyli,—nie jest niczem innym tylko samą istotą poetyczności, poezji, jako siły twórczej, w czynnym do świata stosunku zostającej. Ma w nim, i uczucie powinien, rodzica swego zarówno idealizm, jak realizm—byle nie gminny. Po wiekach twórczenia nazimno nastąpiły czasy szczerego natchnienia, które zrazu w podmiotowości tylko wyrazić się mogło; ale i w epoce lodowej niekiedy wybuchał ogień żywy—myśl kształtowała prawdziwe, szczerze uczucie lub prawdę życia zewnętrzną. Te wszystkie utwory, które się wzbijały nad poziom najsilniej się właśnie z karbów ducha wieku wyłamywały. Z nich wszystkich nie romantyzm lub gotycyzm, nie realizm, lub idealizm do nas przemawia. Niel odczuwamy piękno, serce nasze lub wyobraźnia zapala się idąży do umysłowego zespolenia się z dziełem—stajemy się jeńcami poezji. Rozum później dopiero przychodzi i rozpoznaje znamiona jej i tytuły prawne.

Wstręt od historyczności jest całkiem nieusprawiedliwionym, nawet w tej szkole, która do charakteru i momentów psychologicznych, jak to czyni szkoła Brandesa, największą przywiązuje wagę. W utworze historycznym nie jest główną rzeczą historia, ale poezja; historia tylko dostarcza fabuły wspanialszej i przez ważność stosunków swoich żywiej zajmującej od tej, jakaby życie współczesne, pozbawione jeszcze perspektywy i massy, przejawiające się jeszcze w drobnych osobach i faktach, dostarczyć mogło. Historyczność rzuca swój płaszcz królewski na ramiona poezji i pozwala jej odwieczną i wiekiustą historią serca, duszy—a jeśli chcecie, natury ludzkiej przedstawić w nierozdzielalnym związku z historią wielkich osobistości lub całych ogromów dziejowych. Ustosunkowanie jednej do drugiej jest bardzo trudnym i zależy od rodzaju wypadków, od charakterów głównych działaczy, od kierunku panującego w tej twórczości, która trud dany podejmuje. W dramacie zwłaszcza bez historyczności obyć się prawie nie można. Czuli to doskonale Shakespeare i obierał sobie nawet legendy, gdy chciał mieć grunt pod stopami. Komedya i wogóle sztuka obyczajowa musiałaby mieć monopol w dramaturgii, gdybyśmy przed poetami przeszłość zamknęli; zresztą, byłby to akt przeciwny naturze: naturalnem bowiem jest w każdej zbiorowości poczu-

cie węzłów łączących żywych z umarłymi; przez te węzły tylko zbiorowość każda jako indywidualum istnieć może. Kto przeszłość zamyka, ten i wrota do przyszłości zatrzaskał. Pokolenia dzisiejsze potrzebują ciągłej komunii z dawniejszemi—z tej potrzeby właśnie wynika wielkie edukacyjne zadanie historyi. Powiniennem bywać i na cmentarzach; myśl moja zwraca się do grobów, taksamo jak potrzebuje spocząć na łonie natury, lub wstrząsnąć się w mrowisku społecznym. Świat, na który przyszedłem, nie składa się z samych tylko sił i zjawisk bezpośrednio otaczających, ale i z tego wszystkiego, co pamięć ludzka dla mnie zachowała z życia dawnego. Do otoczenia mojego należą i ci umarli, którzy tracąc byt rzeczywisty, nie utracili ideowego i żyją na ogromnym obszarze dziejów. Rzeczywistość zresztą—wczem tkwi—czy w zmysłach i materji? Nie, rzeczywistością istotną jest tylko myśl ludzka—ona sama i jej do- bycze.

Pomijamy inne momenta wykładu, które nas jeszcze uderzyły; bo już na rozpatrzenie ich nie mamy miejsca. Zasługiwałoby zwłaszcza na bliższy rozbiór, niezupełnie nowe a zupełnie nietrafne zestawienie romantyzmu polskiego z Hamletem. Nie taimy żalu, jaki w nas wzbudziło, nie to, że Brandes przyrównał Słowackiego do pawia, że działalność jego, ani geniuszu nie ocenił, dzieł nie poznał, w *Królu-Duchu* nawet olbrzymiego pomysłu nie uwydatnił, ale to, że publiczność porównaniu jego przyklasnęła. Była to już może nie bezmyślność, ale tendencja: klaskały ręce bardzo eleganckie, a do tych Słowacki nie miał szczęścia—nie miał go i za życia. Orłem był Mickiewicz, na to zgoda; ale jeśli już mamy pozostać przy ornitologii, to Krasiński był chyba czarnym łabędziem—inaczej jak Dant przez piekło nie przeszedłby za życia. Brandes niedostatecznie jeszcze poznał Słowackiego i musiał polegać na zdaniach Klaczki i p. Tarnowskiego, który, jak wiemy, z twórcą *Anhellego* bardzo się ostro obchodzi. Czas Słowackiego nadszedł już w życiu, ale nie nadszedł jeszcze w historii literatury. Cybulski o nim powiedział, że coraz większego znaczenia nabierać będzie. Duch poety spokojnym być może: nie ta, to późniejsza potomność blask mu prawdziwy przywróci. Brandes tak dalece go nie rozumie, że wielbiąc Shelleya, z krzywdą Byrona, natrzasa się z wyrażenia piątej pieśni „Beniowskiego“ o Bogu: „On piórem z ognia jest dumnych szyszaków“. Jeżeli po kim, to po wielbiciele Shelleya spodziewać się wypadało innego zrozumienia tego poetycznego obrazu. To pióro z ognia jest co do rodzaju swej ideowej treści; takiemsamem, jak ów obłok ognisty, który prowadził Mojżesza w pustyni—jeden i ten sam Bóg panteistyczny, bóstwo roztopione w naturze. Gdy się takiego obrazu nie rozumiało, gdy się utworów w ich kolorycie i muzykalności precudnej nie poznało; gdy się w sądach swoich opierało na zdaniach nieprzychylnych—to w końcu trzeba było już dojść do owego niefortunnego „pawia“. Ale Brandes ma tyle rozumu, talentu i sumiennosci, że z czasem i owego pawia ze swej krytyki wypłoszy.

S. K.

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż w Maju 1886 r.

Paryż z całym szalem rzucił się w zabawy karnawałowe; miota się gorączkowo nie ma spoczynku ani dniami, ani nocą. Przed laty dwudziestu jeszcze, były tu dwa karnawały, zimowy i wiosenny: pierwszy od Nowego Roku do ostatnich, przeznaczony na bale i wieczory, przeplatane teatrem; drugi od Wielkiej Nocy do Zielonych Świątek, poświęcony wystawom wszelkiego rodzaju, wyścigom konnym, tombolom, zabawom na dobroczynne cele i t. p. Dziś oba te karnawały połączyły się w jeden, który zakwita w Pa-

ryzu jednocześnie z różami. Stary tymczasem, noworoczny karnawał wygnany z nad Sekwany, schronił się do Nicei i innych stacyi zimowych na słonecznych brzegach Morza Śródziemnego.

Łatwo pojąć, jakim warem kipi życie w stolicy pod wpływem podwójnego nacisku. Arystokracya tak rodowa, jak finansowa i artystyczna, wyprawia codziennie bale i maskarady, tem početnějsze, iż miejsce salonów, zastępują tu ogrody oświetlone a *giorno* światłem elektrycznym. Dnie znów całe zapelniają koncerty w Trocadero, wścigi konne, i nieprzeliczone wystawy. Praca to nie mała. Sam oto tak zwany Salon, złożony z trzydziestu sal, czterech ogromnych galerii i oszklonego ogrodu pełnego rzeźb, wymaga kilka dni, choć na pobieżny przegląd. A jakże tu pominać ową cudną wystawę ogrodniczą, zachwycającą oczy tysiącami róż, klombami azalei, rododendorów, palm, wyhodowanych w paryzkich i okolicznych cieplarniach? wszystkich tych wystaw, nietylko opisać lecz i wyliczyć nie podobna. Tu matki, ukazują z dumą, tłuste jak pączki niemowlęta, przyszłą nadzieję Francji; tam, z niemniejszą dumą, słynny krawiec paryzki Felixa, wystawia na widok publiczny przepyszne stroje, kapiące od złota, pereł i dyademów, dla następczyni tronu portugalskiego.

Na Polach Elizejskich widzimy znów psy najpiękniejsze w świecie, zaczawszy od olbrzymich Terre-neuve'ów i buldogów z szeroką paszczą, do ślicznych Duńczyków w białe i czarne centki z turkusowem lub szmaragdowem okiem, do małych *king-charlów*, pięknych potwornością swoją i bonończyków z miękkim jak jedwab, upudrowanym włosom.

W Akademii Sztuk Pięknych przyciąga licznych widzów wystawa zmarłego malarza Baudrego, słynnego dekoratora wielkiej opery, wprowadzająca nas w świat greckich mytów, które ten mistrz tak pięknie odtwarzał, nadając im barwę nowożytną. W innem znów miejscu, w ogromnej pracowni zmarłego rysownika Dorégo, nagromadzone wszystkie arcydzieła sztuki dzieło-więtnastego wieku, najpiękniejsze obrazy Delacroix'a, Vernet'a, Ary-Scheffera, Delacroix i tyłu a tyłu innych, którym dano było wycisnąć ślady lwich szponów w historii sztuki francuskiej. Wystawa ta, urządzona w celu dobroczynnym, na szczególną zasługuje uwagę. Powróćmy do niej w innej korespondencji, dziś zatrzymamy się choćby chwilę w salonie.

Wprost wejścia do pierwszej sali kwadratowej uderza nas ogromny tryptyk Puvisa de Chavannes, przeznaczony do monumentalnej sieni muzeum lyońskiego. Dawniejsze freski zastąpiono dziś jak wiadomo, obrazami na płótnie. Obrazy te mają właściwy sobie dekoracyjny charakter, to jest rzuty pędzla szerokie, koloryt cokolwiek przymglony. Mistrzem w tym rodzaju, rzecz można twórcą szkoły, uznawany powszechnie jest Puviss de Chavannes. Jak każdy nowator, tak i mistrz ten przeszedł ciernistą drogę, nim pociągnął za sobą ogół. Przed laty jeszcze kilku krytycy sztydziłi z jego archaicznych obrazów; publiczność mijała je z pogardą, ruszając ramionami. Artysta nie zważał na to, szedł drogą, jaką sobie wytknął i doszedł nią do prawdziwego tryumfu. Wszyscy dziś pochyłili czoła przed mistrzem.

Nie pierwszy to raz taki zwrot opinii powszechnej spełnia się przed naszymi oczyma. Dwadzieścia lat temu Franciszek Millet, twórca ludowej szkoły w malarstwie, w chwili, gdy go śmierć zaskoczyła, ledwie, że zaczął dźwigać się z nędzy, w jakiej żył przez ćwierć wieku, wyłączony z konkursowych popisów, zmuszony rzucać piórem na papier dorywcze szkice, dla wyżywienia rodziny! Dziś sceny ludowe zmarłego mistrza opłacane są po 500,000 franków. Inny znów pejzazysta, Corot, zapelniał przez lat trzydzieści pracownię swoją setkami płócien, których nikt nie nabywał, aż dopiero gdy siódmy krzyżyk zaciężył mu na barkach ujrzał z podziwem sypane sobie garście złota i stopy wawrzynów!

Tegoroczny tryptyk Puviss de Chavannes wyobraża trzy grupy. Wpółrodku widzimy dwie rzeki zbiegające się w Lyonie. Rodan, w postaci krzepkiego rybaka, chwyta w objęcia powiewną Sawonę, dziewczeczkę z jasnym włosom. Ustóp

ich spływają razem dwa prądy, przecinające piękny krajobraz, zarosły wierzbami i olszyną.

Dwa boczne obrazy tryptyku przedstawiają sztukę starożytną i chrześcijańską: tam forma podniesiona do ideału, tu spotęgowane uczucie. W obrazie pierwszym stanowi tło krajobraz grecki: nad morzem, szafirowej barwy, piętrzy się malownicze gór pasmo, oświetlone promieniem słońca. W głębi przesuwają się kouny szereg zbrojnych Ateńczyków, przysłonięty mgłą oddalenia. Bliżej oka niewiasty i dziewice ateńskie tworzą pełną wdzięku grupę: jedna czerpie amforą wodę w strumieniu, drugie zbierają kwiatki, plotą wieniec, inne spoczywają na murawie. Głęboki panuje tu spokój, połączony z jakąś tęskną zadumą.

Część tryptyku z przeciwnej strony, pod tytułem: *Natchnienie chrześcijańskie*, wyobraża wnętrze klasztoru. Zakonnik w benedyktyńskim habicie, może *Fra Angelico*, zstąpił z podniesionego pod sufit rusztowania, z pędzlem i paletą w rękę, i przygląda się pilnie własnej pracy; poza nim trzej uczniowie wlepili oczy w dzieło mistrza; dalej jeszcze zakonnicy snują się w rozmaitych postawach, jeden z nich zapala małą lampkę przed figurą Bogarodzicy. Na ostatnim planie u drzwi kilku żebraków czeka spokojnie na jałmużnę, przez arkady i galerie widać klasztorny cmentarz zarosły cyprysami, owiane mgłą wzgórzka zakończają widnokrąg. Tu spokój głębszy jeszcze, niż w poprzednim obrazie. Wszystkie postacie wyższym ożywione ideałem tworzą grupę dziwnie harmonijną.

Mistrzowski ten utwór panuje w salonie: zatrzymaliśmy się nad nim, jak się zatrzymują tłumy zwiedzające wystawę, porwane mimowoli urokiem arcydzieła.

Mało widzimy na wystawie religijnych obrazów: rząd dzisiejszy, a tem mniej magistrat Paryża nie myśli o zdobieniu przybytków pańskich. Mało też utworów historycznych. Najpiękniejszy ze wszystkich Benjamin Constant, przedstawia cesarza Justyniana w pośród prawników i teologów. Artysta odtworzył w rzeźbach Wschodu ze ścisłością uczonego archeologa i z blaskiem niezrównanego kolorysty. W mniejszym obrazie, pędzla Jerome'a, ujrzelśmy postać zaniedbaną oddawna w świecie sztuki. Mistrz ukazał Napoleona I-go na rączym koniu, z okiem utopionem w Sfinxie, wśród pustyni egipskiej.

Z pomiędzy pięciuset portretów uwagę powszechną ściąga portret Pasteur'a w całkowitej postawie; wykonał go Bonnat. Słynny pogromca wściekliczy, przedstawiony, nie w laboratorium ale w zwykłym pokoju, trzyma za rękę ośmioletnią swą wnuczkę.

Langie wystawił w wielkim obrazie Wiktora Hugo po śmierci. Zmarły poeta spoczywa na łożu zasypany cały kwiatami i wiencami.

W liczbie dwóch tysięcy pięciuset obrazów polowa niemal należy do rodzajowych. Są one w malarstwie tem, czem jest powieść w literaturze. Widzimy w nich nadzwyczajną różnorodność; wszystkie warstwy i odcienie społeczne dostarczyły wątku artystom. Pomijamy ładne obrazki z życia salonowego, pomijamy również obrzydliwe sceny karczemne i uliczne, nacechowane grubym realizmem; wspomniemy tylko dziwnie piękne obrazy z życia ludu; każda prowincya dostarczyła typów malarzom. Tutaj oto, ukazują nam krzepkie rybaczki normandzkie wracające z połowu — i pełen życia jarmark. Renouf przedstawia nadzwyczaj dramatyczną scenę: biedne dziecko ocalone z rozbicia, przytroczone do złamanego masztu, miotane falą morską. Juliusz Breton, niezrównany mistrz w rodzajowych obrazach, odmalował *Spoczynek po pracy*. Słońce dopieka żarem południowym. Dwie dziewczeczki posilają się w polu: jedna leży druga siedzi krzepko z głową podniesioną, trzecia dmucha w ogień i piecze kartofle. Scena to prosta, oddana z całą prawdą. Oceniono widocznie te zalety; malarz, jak czytaliśmy otrzymał 100,000 franków za ten śliczny obrazek.

Juliusz Breton należy do tej małej liczby wybranych, którzy zdobyli wziętość w samą porę, w pełni życia i działalności, wbrew przysłowiu: „Nim słońce wejdzie, rosa wyżre oczy.“ Zasłu-

żył on na to w rzeczy samej. Ukochał gorąco wieśniaków, żyje wśród nich, zrosł się niejako z nimi, patrzy na ich mozoly, przeniknął ich myśli, podziela ich uczucia. Daleki od cekiwej sielankowości, z jaką dawniej malowano Korydonów i Dorydy, nie wpadł zarówno w drugą ostateczność panującą w dzisiejszym czasie: nie rzuca w oczy lepiej uposażonym krwawych ran toczących wydziedziczone społeczeństwo. Maluje ten lud, jakim jest: swobodnym przy pracy, zadowolonym z cichej doli, jaka mu przypadła na świecie, pełnym głębokiej wiary i poszanowania, tak dla rodzinnych związków jak dla tradycyi domowych. Słowem: obrazy Bretona wyrażają tężsamą myśl, jaką Wincenty Pol wypowiedział w pięknej zwrotce:

I z tego ognia ma się rozejść ciepło
Po wszystkiej ziemi, gdy boleść przeminie;
I przy tym ciepłym domowym kominie,
Ma się znów ogrzać, co w życiu zakrzepło.

Wyczytaliśmy w katalogu kilkanaście imion polskich, ale nie mogliśmy dotąd odnaleźć wszystkich rzeźb i obrazów wykonanych przez ziomków naszych. Zostawiamy je do przyszłej korespondencji. Matejko nadesłał Wernyhore, ale zapóźno, po oznaczonym terminie. Obraz nie mógł być umieszczonym. Ma być podobno wystawiony w sali Sedelmajera, gdzie Munkacsi i Brożik zwykli mieścić obrazy swoje.

Pierwszy tom pośmiertnych publikacyi Wiktora Hugo, ukazał się w końcu Lutego w ośmdziesiątą rocznicę urodzin poety. Jest to zbiór fantastycznych dramacików, komedii, monologów i dyalogów, wychodzących za obręb wszelkich form dotychczas przyjętych, wszelkich znanych prawideł. Sam autor określił je w ten sposób: nadał im bowiem tytuł *wolnego teatru* (Le théâtre en liberté).

Zagorzali zwolennicy poety, którzy wzięli go za sztandar politycznych i socjalnych manifestacyi, unoszą się nad pięknoscią tych dramatycznych poematów; ale ktokolwiek jednak patrzy na nie bezstronnem okiem, widzi w nich poprostu dwactwa rozkiełznanej wyobraźni. Taki mistrz słowa, jak Hugo, musiał rzucić tu i owdzie jakiś barwisty kwiat, jakiś błyszczący klejnot lub jakąś strzępkę złota; całość jednak tak chaotyczna, tak poplątana, tak pełna paradoxów i antitez, że samo zdanie sprawy z tych utworów zupełnem jest niepodobieństwem.

Ów wolny, a poniekąd swawolny teatr, składa się z siedmiu sztuk i sztuczek poprzedzonych prologiem. Nie dziwaczniejszego, nad ten prolog, Jowisz powołuje przed tron swój tragedya i komedya; wzywa każdą z nich, aby wypowiedziała, czego żąda.

— Ja — rzecze tragedia — żądam zlocistych koturnów — a ja prostego żabotu, powie komedya. Ja żądam wawrzynu... — a ja szyku. — Ja potrzebuje ślepego i nieme — a ja krótkowidza i jakąś... — Ja Katarzyny... — a ja Kasi. Ja żądam kłamcy... — a ja łatwowieznego. — Ja pragnę ze Styxu dostać się do Nieba... a ja z Paryża do Saint-Cloud. — Ja chcę ciemnego lasu... a ja balu. Ja wielkiego lwa... a ja wilka. — Mnie trzeba zwycięzy z buntowanego przeciw Bogu... mnie upartego osła.

(Dokończenie nastąpi).

DROBNE LISTKI.

— **Poeta amerykański**, Juliusz Hawthorne, napisał dla Modrzejowskiej dramat, w którym, według pism angielskich, artystka ma wkrótce wystąpić na scenie londyńskiej. Poeta przedstawił najpierw artystce plan dramatu, którego myśl przewodnia i rozwinięcie jej w szczegółach akcyi zyskało sobie wielkie z jej strony zadowolenie.

— **Siostra księcia Alexandra bułgarskiego**, hrabina Erbach, napisała książkę pod tytułem „Podróż moja po Bułgari“. Książka ta w czasie

obecnego pobytu hrabiny w Anglii, została złożona i wydrukowana całością przez księcia Ludwika Battenberga i jego żonę, księżną Beatryxę angielską, książę bowiem jest doskonałym zecerem i żonę wyuczył kunsztu drukarskiego. Książka nie zostanie wcale puszczonej w obieg handlu księgarskiego, i tylko kilkanaście jej egzemplarzy będzie rozesłanych między członków rodziny książęcej. Ponieważ hrabina Erbach umie popolsku, jak pisma angielskie donoszą, ułatwiło to jej wielce zrozumienie języka bułgarskiego i pomogło do przełożenia kilku pięknych pieśni ludowych.

— **Arcyksiążę Teodor Karol** bawarski, który jest doktorem medycyny, zapragnął w czasie swej bytności w Paryżu, zwiedzić pracownię Pasteura i być obecnym przy jego doświadczeniach w towarzystwie swego asystenta. Pasteur odpisał natychmiast, że prosi dostojnego koleżkę, tylko chciałby wiedzieć nazwisko asystenta. — Jest nim moja żona — odpisał arcyksiążę. — Nie mam i nigdy w lekarskich mych pracach nie miałem innego pomocnika.

— **Salon des refusés** został otwartym przy ulicy Lafitte tegosamego dnia, co wystawa na Polach Elizejskich. Opis takiej *wystawy odepchniętych*, znajdujący się w ostatnim utworze Zoli: *Dzielo*, daje pewną pojętność do jej zwiedzania, zwłaszcza, że w bieżącym roku sąd stanowiący o przyjęciu do *Salonu* okazał się szczególnie surowym, może z przyczyny, że liczba wystawców rośnie z każdym rokiem.

— **Pomnik wzniesiony w Rzymie** pocie Metastazio, został odsłonięty w d. 1 Maja. Jestto posąg poety, naturalnej wielkości.

— **Jubileusz kapłański** Leona XIII-go złączonym zostanie z wielką wystawą sztuki kościelnej w Watykanie. Pierwszą grupę tworzyć będą kunsztowne tkaniny i hafty, drugą wyroby z wszelkich kruszców i rzeźby w drzewie, trzecią księgi i druki; czwartą — najcenniejszą, malowidła i rzeźba właściwa.

— **Nieznanym obrazem** Leonarda da Vinci został odkryty w Padwie i wzbudził w artystycznych kołach włoskich najwyższe uwielbienie. Zrazu nie można było dociec, czyje to jest dzieło, ale zaraz od początku przypisywano je najpierwszemu mistrzom pędzla, aż fotografia, którą zdjęto z obrazu, odbiła niewidzialne litery: *L. V.*

Obraz, który uważają dziś za największe dzieło jego twórcy, jest malowany na drzewie, ma metr wysokości, 80 centymetrów szerokości i przedstawia głowę Chrystusa, dźwigającego krzyż. Chrystus ma nad czołem cierniową koronę; przedziwnie pięknych rysów czystego greckiego typu nie speści wyraz cierpienia i wyczerpięcia, bolesnego wysiłku fizycznego, a przeciwnie boskie oblicze tak, jak człowiek ideał bożkości wystawić sobie może, przedstawia najpiękniejszą harmonią form, której wyrazem jest spokojna, łagodnie, smutnie przebacząca cierpliwość. Tylko cicha tęsknota wieje z oblicza, wygląda z dużych, dziwnie pięknych oczu błękitnych. Jak czystym, jak szlachetnym w liniach swoich jest rysunek, tak doskonałym koloryt i delikatność jego tonu. Takim jest wrażenie, które otrzymał niemiecki krytyk sztuki, Knittel, zamieszkujący w Wenecji, nazwał on „Chrystusa dźwigającego krzyż“ wcieleniem ducha Ewangelii. Jakże daleko do tego „Chrystusowi przed Piłatem.“

— **Spartakus**, tragedia węgierskiego poety Grzegorza Cziky, otrzymała pierwszą nagrodę na konkursie Tekely'ego. Wystawiona na scenie w Peszcie, została przyjęta dobrze, ale bez gorącego zapалу.

— **Wielka opera** paryzka wystawi w Maju nowość: operę Paladilhy: „La Patrie.“ Jako kompensatę uczuć wielkich, które utwór ten po-

winien wzruszyć, dostaną Paryżanie w tymże miesiącu nowy balet: „Deux Pigeons.“

— **Paryzki Petit Journal** wychodzi w 886,000 egzemplarzach. W roku zeszłym miał czystego dochodu 4,974,216 franków więcej o 535,469 fr. niż w roku poprzednim.

— **Nowy teatr liryczny** zostanie w jesieni tego roku otwartym w Paryżu; kierunek nad nim obejmie dawny dyrektor teatru w Antwerpii, Coulon. Zamiarem jego jest wystawiać przeważnie dzieła muzyczne mistrzów obcych, dla obznajmienia z niemi Francuzów.

— **„Faust“ Goethego** w bardzo udatnym przekładzie serbskim Dr Milana Sawicza, został niedawno wystawiony w serbskim narodowym teatrze. Miał być odegranym wybornie, bo też literackie koła serbskie zajmowały się żywo przedstawieniem.

— **Wystawa sztuki weneckiej** została na rok przyszyły zapowiedzianą w Wenecji.

— **W Japonii** utworzyło się pod nazwą „Rama-ja Kai“ towarzystwo, usiłujące rozpowszechnić w kraju alfabet łaciński. Towarzystwo to już liczy przeszło sześć tysięcy członków, i jakkolwiek rząd nie bierze żadnego udziału w propagandzie, jest jej przychylnym i wspomaga ją w milczeniu. Większa część czasopism japońskich drukuje w każdym numerze kilka łamów łacińskimi głoskami. Ponieważ w wyżej wykształconych kołach Japonii pismo łacińskie zostało powszechnie przyjętem, rzecz jest już tylko kwestyą czasu.

— **Zupełne zaćmienie słońca** będzie widzialnym w dniu 29 Sierpnia w Indyach Zachodnich, Angielskie stowarzyszenie naukowe „British Royal Society“ otrzymało już ze strony skarbu korony i ministrem marynarki środki na urządzenie wyprawy, która zjawisko obserwować będzie. Wyprawa, składająca się z siedmiu astronomów, wyruszy z Londynu w dniu 27 Lipca na parowcu „Nil“. Przy Barbados wojenny okręt angielski przyjmie członków wyprawy na swój pokład i dowiezie ich do wszystkich stacyi, gdzie być pragną.

— **Trzęsienie ziemi**, które dało się czuć na Wyspach Sandwich w dniu 5, 6 i 7 Marca, sprawiło ten skutek, że nowo utworzone, też wśród podobnych przewrotów, jezioro, zniknęło i jednocześnie zagaśił wulkan Kilanea. Krajowcy przepowiadają, że zjawiska te poprzedzają sil-

niejszy niż kiedy wybuch, albo wulkanu Kilanea, albo wulkanu Mauna Loa.

— **Wystawa Północno-Amerykańskiej sztuki i przemysłu**, która miała mieć miejsce w Londynie w Czerwcu, została odłożoną na Maj przyszłego roku z powodu wystawy indyjskiej i wogóle kolonii angielskich, która obecnie odbywa się w Londynie.

— **Professor wiedeńskiego uniwersytetu** Dr. Frisch, przemawiał na posiedzeniu wiedeńskiej polikliniki o metodzie Pasteur'a leczenia wścieklizny, i zaznaczywszy najpierw fakt, że według jego przekonania, wszystkie doświadczenia Pasteur'a dokonywane są na zasadach ściśle naukowej metody, dodał jednak, że jestto z jego strony rzeczą nieprawidłową, iż pracom swoim nie daje potrzebnej jawności. Dr. Frisch, który wedle wskazówek francuzkiego uczonego sam odbywał próby szczepienia wścieklizny, ale tylko na zwierzętach, podziela zdanie wielu, w świecie naukowym odzywających się głosów, że Pasteur pewne punkta swojej metody w tajemnicy utrzymuje ze szkodą dla nauki i ludzkości.

— **Towarzystwo akcyjne rozszerzania** londyńskich podziemnych dróg żelaznych, utworzyło się tam ze znacznym kapitałem Zaprowadzona będzie wkrótce kolej podziemna pod dnem Tamizy na długość dwóch kilometrów, i posiadać będzie dwa tunele, dla obu kierunków ruchu.

Kolej ta wychodzić będzie z City, z ulicy Króla Wilhelma „King William Street“. Ruch nadawanym będzie nie przez lokomotywę, lecz za pośrednictwem liny, co nietylko uczyni przedsięwzięcie owiele tańszem, ale otrzymaną będzie w zysku świeżość powietrza, któreby dym i jego sadze, oraz wilgoć pary zanieczyszczać musiały.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 10-ty powieści pod tytułem: **Szaleństwo**, przez Z. Mairét.

Tanie zbiorowe wydanie POWIEŚCI

J. I. KRASZEWSKIEGO

Z wydawnictwa tego wyszły w roku bieżącym:

Męczennicy, Część I-sza (Na wysokościach) powieść w 3-ch tomach,
Czarna perełka, powieść w 2-ch tomach,
Jesienią, powieść w 3-ch tomach,
Męczennicy, Część II-ga (Marynka) powieść, tom 1-szy.

W roku bieżącym wyjdzie jeszcze 11 tomów, czyli ogółem w 1886 roku tomów 20.

Prenumerata wynosi w Warszawie rocznie rs. 6; półrocznie rs. 3; kwartalnie Rs. 1 kop 50
Z przesyłką pocztową rocznie rs. 7; półrocznie rs. 3 kop. 50; kwartalnie rs. 1 kop. 75.

Wydawnictwo to wychodzi od 1885 r., czyli czwarty rok; każdy zbiór roczny z lat 1883, 1884, i 1885 sprzedaje się na tychsamych warunkach jak obecnie wychodzący.

TREŚĆ. Poranek, poezya, przez Szczęsną. — Łucya z książąt Gedroicw Rautenstrauchowa (Wspomnienie pośmiertne), (dokończenie), przez M. Ilnicką. — Boży gniew, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Romantyzm polski, w pojęciu Brandes'a, (dokończenie), przez S. Krze-
mińskiego. — Nowiny paryzkie. — Drobnie listki.

Dodatek obejmuje: Arkusz 9-ty powieści pod tytułem: **Szaleństwo**, przez Z. Mairét. — Przegląd mód. — 11 wzorów ubiorów robót wraz z opisem — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycyą stołu.